

TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 11.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 28 listopada 1859.
10 grudnia
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półroc. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.

TREŚĆ NUMERU.

Ignacy Komorowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Śmierć słowika, wiész Syrokomli (z drzeworytem). Ojców (z drzeworytem). — Spowiedź w kościółku wiejskim (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Korrespondencya „Tygodnika Ilustrowanego.“ — Nowy Kastor i Polluks, albo historia o dwóch zasuszonych kawalerach na warszawskim bruku (ciąg dalszy). — Rozmaitości. — Korrespondencya od redakcyi. — Historia jedynaczka w 32 obrazkach (z pięcioma drzeworytami) dokończenie. — Szachy, zadanie konikowe i rebus.

Ignacy Komorowski.

Ignacy Komorowski urodził się w Warszawie dnia 13 stycznia 1824 roku. Wcześniej bardzo okazywał wiele upodobania do muzyki. To też niezamowni rodzice, chcąc dogodzić własnej jego skłonności, a zarazem zapewnić mu na przyszłość jakiegokolwiek utrzymanie, wszelkich sił i starań dokładali, ażeby synowi podać sposobność kształcenia się w tej sztuce. Dobry muzyk i fortepianista, Szanior, był jego pierwszym nauczycielem; lecz Ignas, nie poprzestając na samym fortepianie, zapragnął także uczyć się na skrzypcach. Postarano się znów o drugiego metra i w osobie Bułakowskiego, zasłużonego niegdyś artysty w orkiestrze Wielkiego teatru, znaleziono dobrego i sumiennego na skrzypcach przewodnika. W pierwszych więc zaraz latach młodości Ignas ciężko już pracował nad przełamaniem najtrudniejszych zawsze początków mechanizmu muzycznego, nie zapominając o innych naukach kształcących rozum i serce. Około 1838 r. począł uczęszczać na chór pijarski, z samych prawie amatorów, staraniem Józefa Krogulskiego, złożony; tam to dopiero nabrał on zamiłowania do muzyki wokalne, dla której głównie w późniejszym swym życiu miał pracować.

Postąpiwszy znacznie w mechanizmie skrzypcowym, w roku 1842 porzucił skrzypce, a wziął się do wiolonczelli. Szabliski, znakomitego talentu artysta, był mu zrazu przewodnikiem na tym pięknym lecz trudnym instrumencie.

Tkliwa dusza Ignacego dziwnie sympatyzowała z wiolonczellą. Wiadomo że śpiewność stanowi najgłówniejszą jej zaletę; wszelkiego rodzaju biegniki, chociażby najświetniejsze i najlepiej na niej wykonane, nigdy na słuchaczach nie robią tak silnego i głębokiego wrażenia, jak śpiew umiejętną ręką wydobyty. Łagodne i rzewne tony w niższych stopniach jej obszerniej skali, mające tyle podobieństwa do głosu ludzkiego, stanowią najbogatszą i najponętniejszą jej własność. A więc Ignacy, co miał później wy-

śpiewać z swęj duszy tyle pięknych i tkliwych melodyj, pokochał serdecznie wiolonczellę; ciężką pracą starał się dociec tajemnic w niej ukrytych, przysłuchiwał się z lubością jej miłym a rzewnym tonom, poił swego ducha w dźwiękach jej głosu, przejmował się jej żalem, jękami; gwarząc z nią poufnie, podzielał jej tęsknotę i tak się z nią duchem zbratał, że odąd, jeżeli szukał w swém łonie pieśni, to ją tęskną znalazł, jeżeli ją miał światu i braciom wypowiedzieć, to na rzewną nutę.

Blizsze zetknięcie się w owe czasy z poetą Lenartowiczem, wywarło na Ignasiu wpływ głęboki i stanowczy. Utwory poety, pełne sielskiej prostoty, a za-



IGNACY KOMOROWSKI.

razem nieopisanego wdzięku, zbudziły odpowiednie w sercu młodego muzyka echo. Ignacy pieścił się niemi, w obudzającym się już i pragnącym działania zmyśle kompozytorskim rozdzielał je na peryody, nucąc w duszy stosowną do nich melodyę. „Galary“ cudownym prawie sposobem Ignas utworzył, zadzi-

wiony sam może więcej od innych łatwością, z jaką muzykę do słów poety ułożył. Zachęcony radą starszego brata Józefa, nieodżałowanego artysty dramatycznego, począł dalej sił swoich próbować i wkrótce skomponował muzykę do „Kaliny“ i mazura „Hej do tańca dziewczuch!“ Trzy te pieśni i czwarta jeszcze „Anioł i Pacholeg,“ lecz już w odmiennym zupełnie od poprzednich stylu napisana, są najpięknymi ale zarazem najlepszymi utworami tego kompozytora; można powiedzieć iż są one źródłem, z którego wszystkie inne miał później czerpać. Talent prawdziwy, talent liryczny Ignacego przebija się w nich najwidoczniej, i chociaż następnie komponował wiele pieśni, atoli pod względem piękności i bogactwa melodyi bardzo mało jest takich, co by się z tamtymi równać mogły.

Ignacy szczupłe niezmiernie posiadał zasoby naukowo-techniczne do kompozycyi, szczególnie w początkach; nic dziwnego więc że w pierwszych Ignacego płodach znajdują się pewne usterki, wynagrodzone sownie licznymi zaletami.

Za przykład stawiamy tu „Kalinę,“ najpopularniejszą z pieśni tego nieodżałowanego kompozytora, która pomimo technicznych niedostatków, wszystkim co nie są obojętni na dźwięki muzyki do serca przypadła, bo w niej Komorowski całą swą tklivość, całą rzewność, całe artystyczne uczucie szczęśliwie wypowiedział. Gdyby był nie więcej nad „Kalinę“ nie utworzył, stanąłby zawsze wysoko w rzędzie prawdziwie wyższem natchnieniem namaszczonego kompozitorów. Melodyi, t. j. istotnej twórczości w muzyce, ludzie ani żadne teorye nie dadzą, to Bóg sam tylko dać może, teorya zaś uczy jak ją rozwinąć, jak w nadobniejszej formie objawić. Szczęśliwy więc kompozytor, co wszechwładnie techniką sztuki rozporządzać może, bo wówczas jedynie stworzyć on będzie w stanie arcydzieło, przed którym świat w uwielbieniu czołem uderzy.

Ignacy pojmował to dobrze; lecz syn ubogich rodziców, nie miał dostatecznych fundusów na pozyskanie dla siebie stosownego nauczyciela. Zresztą około 1847 r., zmuszony okolicznościami pracować na swoje utrzymanie, dając lekcye na skrzypcach, wiolonczelli albo fortepianie, za ledwie na opędzenie koniecznych potrzeb życia zarabiał. Więc też były to dla biednego Ignasia najcięższe czasy; walczył on wytrwale z niedostatkiem materyalnym; chociaż niekiedy i lekcji mu zabrakło, na duchu nie upadał, radził sobie i jak mógł się obywał. Z kompozycyi swoich żadnego nie miał dochodu, bo wydawcy ani słyszé

chcieli o jego utworach. Jakże tu robić nakłady na kompozycje tak młodego i nieposiadającego rozgłosnej sławy muzyka. a nuż się koszta nie wróca? Zresztą, kto u nas śpiewa polskie pieśni, któż je więc kupować będzie? Trwało tak czas niejaki; Ignacy własnym nakładem pierwsze swe utwory w świat puszczał, aż z dniem każdym wzrastające dla niego pochwały, skłoniły nareszcie wydawców do wydania kilku jego kompozycji, bez zadnej prawie dla autora nagrody.

W roku 1848 już Ignacego coraz większe powodzenia spotykały, dzięki pierwszym utworom i miłemu głosowi, jakim chętnie takowe wszędzie występowały. Lecz powodzenie w salonach, w niczym nie polepszyło jego bytu materialnego, owszem, na większe wydatki go tylko narażało. Gdy mu lekcyjki jakie miał odpadły, Ignas znalazł się w ciężkim niedostatku, i dalsze utrzymanie się jego w Warszawie stało się niepodobnym. Ulegając więc namowom dobrze sobie życzących, starał się o posadę nauczyciela muzyki na prowincyi. Los tym razem okazał mu się dosyć sprzyjającym: tego samego roku w miesiącu czerwcu, wezwany został na nauczyciela gry na fortepianie w Kujawskie. W Kamiennój, w zacnym obywatelskim domu państwa Kretkowskich, pocziwy nasz artysta znalazł przyjazną sobie i prawdziwie ojcowską opiekę. Obowiązki jego nie były uciążliwe, więc resztę pozostającego czasu obracał na swoją korzyść, a tém swobodniej oddawał się wykształceniu umysłu i najmilszej sobie pracy muzycznej, iż nie potrzebował myśleć o materialnych warunkach życia. Pasował się biedny Ignas w Kamiennój z natchnieniem własnym i techniką tamującą wolny jego polot; przeciw pieśni które tam napisał, odznaczają się staranniejszym i zręczniejszym nieco opracowaniem. Jedną z pomiędzy nich t. j. „Hymna na cześć Guttenberga“ (słowa Lenartowicza), uważaną być może za jego najlepsze dzieło. Pieśń ta, niewydana dotąd, w szczęśliwej chwili pomyślana, odznacza się wspaniałą pięknoscą melodyi, nadzwyczajną energią w rytmie i dobrze prowadzoną harmonią. Zdaje się że jak okrzyk entuzjazmu wybiegła z jego młodych piersi, w zadziwiającej całości i potędze! Chociaż kompozytor na jeden głos ją układał, śpiewana jednak chórem, bodajby najlichniej, wielki efekt wyrzucić może.

Ciche i wolne od trosk życie na prowincyi, nie wystarczało jednak Ignacemu, ani dobre towarzystwo jakim był otoczony rodzinnego miasta zastąpić mu nie mogło. W roku więc 1850, gdy powiększono orkiestrę Wielkiego teatru, postarał się w niej o miejsce, i przybywszy do Warszawy, dnia 1 maja objął posadę wiolonczelisty. Zbliżony tedy do głównego ogniska sztuki naszej muzycznej, Ignacy z zamiłowaniem spełniał te nowe dla siebie obowiązki, krzątając się czynnie około wydawnictwa pieśni, które w Kamiennój skomponował. Wkrótce wyszły na widok publiczny w jednym zbiorze pod tytułem: „Dziesięć pieśni polskich.“ Dobrze od ogółu przyjęte, zjednały swemu twórcy wiele rozgłosu; kilka pieśni, a mianowicie: „Serce, serce, z kąd to bicie?“, „Ukrainiec“ i „Pieśń z wieży“ (wiersz Aleksandra Chodźki), szczególnie pod względem melodyi, wielkie mają zalety; pierwsza z nich stała się bardzo popularną.

Komorowski śpiewał swoje kompozycje wybornie; każdy przeto rad był go poznać i słyszeć; zapraszano i rozrywano go na wszystkie strony. Jemu też należy się zasługa, iż pierwszy w niektórych salonach począł upowszechniać polską muzykę; wprawdzie przez długi czas on jeden tylko był jej wykonawcą, lecz później coraz więcej osób z rodzinną odzywało się nutą, a następnie zwyczaj ten pomału wprowadzony został do publicznych nawet koncertów. Dzisiaj żadne, bodajby najmniejsze zebranie muzyczne (z bardzo małymi wyjątkami), nie obejdzie się już bez wykonywania naszej własnej muzyki, a utwory Komorowskiego najczęściej słyszeć można.

Z tego to powodu lekcje sypały mu się bezustannie. Ignacy jak mógł wykręcał się od nich, bo mu siła czasu zabierała i nudziły go wielce; ale marząc zawsze o wyjeździe za granicę i ukończeniu tamże studyów muzycznych, przyjmował takowe, lubo niechętnie. W dwa lata później, czując pierwsze symptomata choroby piersiowej, zmuszony był podać się do dymisji; jakoż dnia 7 lipca 1852 r. otrzymał uwolnienie od służby. W roku następnym fortuna nie dopisywała Ignacemu: lekcji nie miał żadnych, za kompozycje wydawcy nie płacić nie chcieli, a przynajmniej bardzo mało, więc źródła wszelkich docho-

dów zupełnie wyschły. Nie było co robić, musiał powtórnie wejść do teatru, i znów od 1 lipca 1853 r. zasiadł z wiolonczellą w orkiestrze, by na kawałek chleba pracować.

Około tego czasu skomponował pomiędzy innymi dziełnego i żwawego kujawiaka do słów Jana Kantego Gregorowicza:

„A tam w karczmie ostro, żwawo,
Szast na lewo, szast na prawo!“

Nie mogąc urzeczywistnić zamiaru wyjechania za granicę, Ignacy udał się do Frejera, a ten zacny artysta, nauczyciel znakomitego Moniuszki i wielu innych dobrych muzyków, podjął się chętnie wtajemniczyć Komorowskiego w ciemny i zawiły labirynt kontrapunktu. Ignacy wziął się tedy z zapałem do nauki, a postępy jego, chociaż powolne, były jednakże widoczne. Piękny polonez: „Chociaż to życie idzie po grudzie“ (słowa Wincentego Pola), tudzież „Powiśle“ (słowa K. Kucza) odznaczają się wyższem od poprzednich utworów opracowaniem, a więcej jeszcze uderza takowe w pieśni z chórem do słów Malczewskiego:

„Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się łęgnie i w bujnym kwiecie.“

O wziętości Ignacego jako kompozytora, najlepiej przekonywa ubieganie się w ostatnich czasach wydawców o posiadanie jego utworów. Za dwie pieśni, to jest Kujawiaka i Poloneza, Friedlein zapłacił Komorowskiemu 100 rs., rzecz dotąd u nas w Warszawie niesłychana. Lecz właśnie w chwili, kiedy wszystko zdawało się naszemu piosenkarzowi uśmiechać, zdrowie opuszczać go zaczęło. Choroba piersiowa w sposób zatrważający niszczyła tę kruchą organizację; ani czuła opieka ojca i brata, ani troskliwe starania przyjaciela lekarza, nic pomódz nie mogły; medycyna wyczerpała wszelkie środki ratunku, lecz na próżno. Jedyną jeszcze nadzieję upatrywano w wysłaniu Ignacego do ciepłych krajów i Rzym za siedlisko mu wybrano. Dnia 17 września 1856 roku, otrzymał urlop z teatru, wyjechał do Włoch. Wpróż atoli ogłosił prenumeratę na zbiór pieśni pod tytułem: „Śpiewy polskie,“ a dochód z niej posłużył mu głównie na wyjazd za granicę.

Chociaż klimat włoski dosyć mu sprzyjał i zdrowie jego pozornie się polepszało, dla braku zwykłych zatrudnień, a szczególnie niemożności zajmowania się kompozycją, gdyż śpiewanie surowo mu wzbronione zostało, nudził się i tęsknił okropnie nieszczęśliwy Ignas do rodziny, przyjaciół i Warszawy. Przyzwyczajony do opieki brata i powodując się zawsze jego radami, zostawszy w obcych stronach sam jeden, nie wiedział często co z sobą zrobić. Więc gdy po kilku miesiącach rozstania brat jego Józef, również zagrożony nieuleczoną chorobą, połączył się z nim we Florencyi, radość Ignasia granic nie miała. Niebawem z Florencyi ndali się razem do Paryża, a następnie przez Ems, gdzie dla kuracyi jakiś czas zatrzymać im się polecono, w pierwszych dniach lipca 1857 roku wrócili do Warszawy.

W parę miesięcy później Ignas już nie żył; nieubłagana śmierć złamała tę młodą latorośl, tyle jeszcze na przyszłość obiecującą!... W objęciach kochającego ojca i brata, przygotował się do uroczystej chwili Ignacy, z prawdziwie chrześcijańską rezygnacją; to jedno go tylko pocieszało, że przynajmniej wpośród swoich, u brzegów tej Wisły, którą tak kochał, dla której tyle piosenek wyśpiewał, zamknie oczy na wieki! Ignacy Komorowski skonał w nocy z 13 na 14 października 1857 roku. Brat jego Józef w kilka miesięcy połączył się z nim, lecz tym razem na wieki.

Nadzwyczajna słodycz i dobroć młodego kompozytora znaną była wszystkim, co z bliska lub zdaleka patrzyli na życie jego i czyny. Powolny i flegmatyczny z natury, działał zawsze z pewnym zastanowieniem. Dla wzniosłej i pięknej myśli, dla szlachetnego uczynku, umiał unosić się do entuzjazmu nawet; dla przyjaźni i koleżeństwa gotów był na wszelkie ofiary. Kochał literaturę, sztuki piękne, ale muzykę nad wszystko miłował i całe swe życie jej poświęcił. Wpadał on niekiedy w pewien rodzaj apaty; wówczas unikał nawet pracy i towarzystwa, które zwykle bardzo lubił. Błąkając się bez celu po mieście, kroki swoje zazwyczaj ku Wiśle kierował. Tamto ujęj brzegów, słuchając plusku fali, okrzyków rybaków i flisów, puszczał wodze poetycznej wyobraźni swojej... marzył o przyszłości, o sztuce, o sławie. Skoro reakcja nastąpiła w jego duszy, z nadzwyczajną znow

energją brał się do pracy, do zwykłych dziennych zatrudnień, a nieraz brat jego zmuszonym się widział powstrzymać tę gorączkową ruchliwość Ignasia. Umiarkowany w wydatkach, miewał chwile dziwniej niekiedy rozrzutności; grosz ciężką pracą oszczędzony, gotów był, gdy miał do tego sposobność i towarzystwo, w krótkim czasie roztrwonić. Wrodzona skromność, uprzejmość i miłe jego obejście się względem innych, zniewalały mu serca wszystkich cogo tylko znali; ubiegano się więc o posiadanie w towarzystwie Ignacego, bo skoro zasiadł do fortepianu i zaśpiewał którą ze swoich pieśni, jakaś niewysłowiona tęsknota obejmowała każdego, niejednemu szczerą łza rozrzewnienia pociekła po twarzy, a chwile takie do najprzyjemniejszych w swém życiu wszyscy liczyli.

W chwili właśnie, gdy Komorowski wzbogacał stopniowo swój talent nauką i doświadczeniem, śmierć, w połowie zaledwie ubiegłej drogi, wyrwała go nam na zawsze! Zgasł Ignacy jako gwiazdka, co pięknymi promykami horyzont naszej muzyki narodowej oświetlała. Imię jego atoli nie zaginie, bo w tych kilkudziesięciu piosnkach, jakie mamy po nim w spuściznie, zostawił on w każdej cząstce ducha swego; a dopóki zachowamy w sobie choć iskry przywiązania do rzeczy rodzinnych, dopóty pieśni Komorowskiego kochać i nucić będziemy,

Kronika tygodniowa.

Czy wierzycie w duchy, upiory, widma, w stoliki wirujące i samopiszzące ołówki?

Czyście czytali „Revue Spirite“ Allana Cardée, albo „Pneumatologie“ Merville'a, albo „Le Monde invisible“ Cahagneta?

Czy wam grano kiedy polkę, którą duch Mozarta skomponował na zebraniu spirytualistów? (widać że usposobienie muzyczne Mozarta musiało na tamtym świecie wielkim podlegać zmianom). Czy wam pokazywano plan pałacu, jaki Humboldt po śmierci zastał już zbudowany dla siebie na Merkuryuszu?

Odpowiedź mi zapewne że nie; bo ja znam was, czytelnicy. Wy jesteście pod tym względem trochę niedowiarkami, wyście gotowi nawet nie wierzyć że ja sam przyzywam ducha Miorsza, pierwszego. jak to powiedział pan Bielowski, kronikarza polskiego, żeby mi dyktował moje kroniki, kiedy już mi na nie konceptu zabraknie.

Już widzę jak mój kolega w „Tygodniku“, a szanowny pracownik na polu dziejów narodowych, Bartoszewicz, ofuknie mnie z góry, że Miorsz nigdy nie istniał, że to tylko mrzonka poetycznej wyobraźni szanownego autora „Wstępu do dziejów Polski.“ Ja mu na to odpowiem, że Miorsz istniał, mógł istnieć i musiał istnieć, kiedy duch jego przychodzi do mnie w odwiziny, że zresztą dziwniejsze jeszcze daleko rzeczy dzieją się na świecie, a jedną z nich opowiem wam zaraz.

Działo się to kilkanaście dni temu. Znać zapewne wszyscy panią L**; wprawdzie mieszka w niej duch także, ale duch salonowy, dowcipny, trochę złośliwy i obmowny; a ręczę że widząc ją w towarzystwie, otoczoną hołdami i uzbrojoną całym arsenałem wdzięków kobiecych i przyborów toaletowych, każdy z was, czytelnicy, chociażby najzawziętszy spirytualista, zapomniałby o wszystkich nieboszczykach pod słońcem, i wyłącznie w jej ziemskim towarzystwie pragnąłby życie całe przepędzić.

Pani L** bardzo mało jest usposobioną do wszelkich wrażeń spiryticznych, słyszałem na własne uszy jak się wysmiewała z Humego, którego miała sposobność oglądać w Paryżu, i objawiała nawet niejakię wątpliwość co do naszego Popiela, chociaż to w kronikach jest zapisane, a wiadomo ogólnie że co kronikarz powie, świętą jest prawdą.

Owóż kilkanaście dni temu, p. L** wybierała się na wieś do dóbr swoich.

W wigilię wyjazdu, w nocy, ukazuje jej się we śnie matka, która zmarła kilka lat temu, i przestrzega ją żeby nie wyjeżdżała, bo, mówi „będziesz wkrótce potrzebować ratunku, a tam ci go nikt nie będzie mógł udzielić. I żebyś była przekonana, mówiła dalej, że ja nie jestem marą senną, ale prawdziwem objawieniem, któremu Bóg dozwolił ukazać się tobie, a żeby

cię uratować od nieszczęścia, po przebudzeniu będziesz miała na ręku widomy znak odemnie, a ten cię przekonano o prawdzie słów moich.“

Pani L**, przebudziwszy się zrana, pamiętała sen swój i to widzenie, pierwszą więc jej myślą było szukać owego znaku na ręku. Na wierzchu rąk ani na palcach nic nie było; dopiero otworzywszy lewą dłoń, ujrzała na niej, jakby odmalowany karminem, purpurowy krzyżyk, który żadnym sposobem zmyć się nie dał ani wodą, ani mydłem, ani wszelkimi innymi znanymi sposobami.

Pani L** została w Warszawie.

Krzyżyk ten pozostał na jej dłoni trzy dni całe, trzeciego dnia ku wieczorowi zaczął niknąć, i znikł zupełnie.

Nazajutrz p. L** dostała tyfusu.

Było to zapewne owo niebezpieczeństwo przepowiedziane przez matkę.

Ratunek był szybki i skuteczny. Dziś już piękna wizjonerka wyszła z niebezpieczeństwa i prędko do sił powraca.

Cytuję wam czytelnicy fakt, wstrzymując się ze zdaniem o nim, za prawdę jednakże słów moich ręczę.

Zbliżają się znów wybory członków komitetu w reursie kupieckiej. Czuję wprawdzie pod tym względem wysokie moje powołanie, wiem że „Tygodnik Ilustrowany“ mógłby być „Times'em“ tych nowych wyborów parlamentu resursowego, ale niechęć nadużywać ogromnego wpływu prasy i zaufania, jakie niewątpliwie cała społeczność nasza pokłada w mnie. Wolę być bezstronnym w tej mierze. Niech sobie tam wybierają jak chcą i kogo chcą, byleby dobrze wybrali, byleby ta wyższa izba resursowa pamiętała o tym, że i żony członków w ciągu roku mają także prawo do zabawy.

Wybornym do tego wstępem są wieczory muzyczne, urządzone przez p. Apolliniego Kąskiego, o których już donosiliśmy. I tu przy sposobności hołd należny prawdzie każe nam wyznać, że to p. Kąskiemu wyłącznie winna jest Warszawa pierwszą myśl urzędzenia zabaw tego rodzaju, których potrzeby i użyteczności liczne zbieranie się słuchaczy na porankach muzycznych p. Wieniawskiego dowodzi. Pan Kąski, przez całe prawie zeszłe lato, wydawał w swoim mieszkaniu wieczory muzyczne, na których zawsze poważne wielkich mistrzów utwory pierwszą grały rolę, i w których najznakomitsze tutejsze talenta wykonawcze chętny brały udział.

Wracając do wyborów resursowych, jakkolwiek już z góry zrzekłem się pod tym względem wszelkich koteryjnych nagabań, zmuszony jednak jestem powtórzyć tu mocną przesłaną mi listownie przez jedną z czytelniczek „Tygodnika.“ Piękna ta (nie wątpię że jest piękną) dama utrzymuje, iż zarząd reursy kupieckiej dalekoby lepiej poszedł, gdyby do składu komitetu weszły jedna albo dwie kobiety; co nawet (zawsze tutaj powtarzam słowa naszej czytelniczki) należy się sprawiedliwie naszej płci pięknej, bo ona daleko lepiej od mężczyzn zna się na urządzaniu baletów, wieczorów tańcujących i innych zabaw tego rodzaju. Możeby na tym straciły karty, ale urządzenie reursy zyskałoby wielce. Nam się ta mocna nie wydaje tak bardzo dziwną; kiedy kobietom wolno jest doktoryzować się w Ameryce, dlaczegożby u nas nie miały być one *członkiniami* komitetu resursowego. I nie wątpię że w Warszawie znalazłaby się niejedna dama, któraby przeważną liczbę głosów uzyskać potrafiła. Zostawiam jednak tę kwestyę dorozstrzygnięciu tym, którym wyrokowanie o niej z prawa należeć będzie.

Co do spraw teatralnych, oświadczam wam, że zawiązałem korespondencyą ze wszystkimi przedsiębiorcami towarzystw dramatycznych prowincjonalnych, i będę mógł chociaż tym sposobem donosić wam o nowościach, których ani podobieństwo doczekać się w Warszawie. Słyszałem już nawet, że teatr w Piaszynie, czy w Błoniu, chce zrobić kontrakt o wszystkie premiiwane sztuki i inne oryginalne, wyczekujące już od tak dawna swojej tu kolei: niechby przynajmniej tam ujrzały już raz światło dzienne. Żeby chociaż przy wznowieniach, mających zastąpić brak nowych sztuk, pomyślano o komedjach oryginalnych, które kiedyś tu miały dobre powodzenie, a które i teraz niewątpliwie uczyniłyby kilka dobrych przedstawień. Do tych należy wesoła i dowcipnie napisana komedia „Lwy i Lwice“ Bogusławskiego, niewiadomo dlaczego wyszła z repertoaru, kiedy tyle

tłumaczonych nędznie sztuczek trzyma się w nim uporczywie.

Czy wiecie dla kogo wiek dziewiętnasty porobił najdowcipniejsze swoje mechaniczne wynalazki? Oto dla większej korzyści tych, którzy karciane zapasy uważają za najważniejsze zadanie życia. Wiadomo zapewne każdemu że istnieje gra w karty *wyrozwana*, to jest ochraniająca od wszelkich kaprysów i fantazyi zmiennego losu. Otóż jeden z takich filozofów zielonego stolika, znęcony wielką reputacyą tutejszych koryfeuszów, przybył tu zmierzyć się z nimi, i tym jeszcze razem wyrafinowa filozofia Zachodu odniosła zwycięstwo nad naszym barbarzyństwem. Jęgomość ten przywiózł ze sobą stolik mechaniczny, urządony według metody Roberta Houdin. Nie ciągnął banku, bo to nastęrcza podejrzenie, ale poniterował tylko. Przy poniterowaniu kładł on pieniądze pod kartę: jeżeli przegrał, za podniesieniem poniterki ukazywała się skromna summa kilkunastu rubli, jeżeli zaś karta jego wygrywała, za naciśnięciem nieznačajnej sprężynki, wychodziły ze stolika kilkanaście biletów bankowych, i łącząc się ze stawką, zadawały ostateczny cios bankowi. Tym sposobem, jak słyszeliśmy, w przeciągu niespełna dwóch tygodni, potrafił on zarobkiem kilkudziesięciu tysięcy rubli uświetnić tryumf mechaniki.

Nie będę wam opowiadał o wydarzonym pod Piotrkowem cudownym skoku pijanego chłopca z fury drzewa na której zasypiał, na platformę tenderu, biegnącego pędem pociągu kolei żelaznej. Nic w tym dziwnego, wiadomo to oddawna że jest jakieś bóstwo opiekujące się pijakami i zakochanymi. Gdyby w tym szeregu bóstw opiekuńczych znalazło się jakie indywiduum protegujące małżeństwa i pobudzające zniechęcającego Hymena, który podobno na dobre w Warszawie zagasił już swą pochodnię i żadnych nowych związków nam nie rai. Może to pokojowe bóstwo odstręczały dotychczas krynoliny, mające trochę podobieństwa do zbroi ochronnych średniowiecznych rycerzy. Aleć wiadomo, przecie że panowanie krynolin już na dobre się skończyło. Kto nie wierzy, niech przeczyta doniesienie o polce pod tytułem: „Upadek krynolin“ świeżo wyszłej z druku. Polka ta dowodzi że i u nas muzyka przyszłości zaczyna mieć swoich zwolenników. Bo do jakiegoż wydoskonalenia trzeba było tę boską doprowadzić sztukę, żeby w polce upadek krynolin wyrazić. Ja sam nie pojmuję jakim sposobem autor potrafił tam myśl swoją udotykalnić; w każdym jednak razie sądzę że ta polka powinna być niebezpieczną do tańczenia, dla zbyt licznych jeszcze u nas zwolenniczek dawniej mody.

Epoka nasza obfituje w wynalazki. W zeszłotygodniowej kronice doniosłem wam o nowym sposobie pożywienia, za pomocą peryodycznego upuszczania krwi bydłom; dziś przychodzi mi oznajmić o innym wielkim odkryciu, na naszej już ziemi wyległym. Wyznaleziono tedy sposób pędzenia wina z pszenicy. Tak jest, wino to ma być od razu stare, smaczniejsze i posilniejsze od stuletnich naszych tokajów. Biędny Noel gdyby żył jeszcze, umarłby ze zmartwienia, że ulubiony przez niego szczep pójdzie w ką, jako najbezużyteczniejsza roślina. Jak tu zacząć u nas siał wino na tyłu tysiącach włók, to gotowiliśmy Europę całą zalać tym nektarem. Szodon stanieje, ale bułki podróżują za to; będziemy mieli szampańskie z Wyszogrodzkiego, reńskie z Gostyńskiego, a węgierskie z Podola. Tylko o czerwone wino będzie trochę trudniej, chyba że przyjdą wielkie upały i przypalą zbiory.

W literaturze cisza wielka i zaledwie nam zanotować przychodzi o pojawieniu się jednej niewielkiej objętością książeczki, ale za to możemy ją całym sercem polecić czytelnikom. Jest to zbiór gawęd i powiastek więszem pana Jana Chęcińskiego, w części już drukowanych, w części nowych zupełnie, wydany nakładem p. Nowoleckiego, tutejszego księgarza. Czytelnik nie dopatry się tam owiej zastarzałej już manieri gawędowej, podług której przez długi czas mnóstwo pisarzy kuło utwory, jak krople wody jedne podobne do drugich. U pana Chęcińskiego przebija rzewność, wielki wdzięk obrobienia, a niema silenia się na starszlacheckie sceny, za pomocą archaizmów i dodatków łaciny kuchennej. Cały ten tomik czyta się łatwo i z przyjemnością i mile po przeczytaniu pozostawia wrażenie.

Pamiętam że parę lat temu, jedna z redakcyj tutejszych pism peryodycznych otrzymała od jakiegoś czytelnika list z wyrzutami, że poważa się chwalić takie

głupstwo, jak *revalenta arabica* i szumnymi wyrazami polecać je publiczności. Każdy się pewnie domyśli że to było proste ogłoszenie, umieszczone za pieniądze, i że takie ogłoszenia w żadnym razie nie mogą iść na conto redakcyi. Dziwną byłaby ta solidarność w niektórych razach; czytaliśmy np. niedawno w jednym z pism tutejszych następujące ogłoszenie: „Potrzebne są panny do czepków, kompletnie uzdatnione, i do sukien podręczne.“ Niechże mi kto wytłumaczy, na co te panny są potrzebne.

KRONIKA LITERATURY BIEŻĄCEJ.

Zbiorek rzeczy swojskich, ku nauce i rozrywce młodzieży, przez Ewarysta Estkowskiego. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego. 1859.

Zacny autor tego niezbyt obfitego w objętość, lecz tém bogatszego w treść dziełka, niegdyś nauczyciel i ozdoba słynnego zakładu naukowego wyższego w Ostrowie, w wielkim księstwie poznańskim, przed niedawnym czasem, w młodzieńczej jeszcze sile, zakończył doczesne życie; wspomnienie więc o tej jego pracy będzie zarazem skromnym kwiatkiem, przez życzliwą rękę na mogiłę autora rzuconym. Estkowski kochał tę młodzież, kształceniu której z całym zapalem się poświęcał; przemyślał nad środkami wlewania w jej dusze miłości cnoty i nauki, oto było główne zadanie jego życia. Dowodem tego jest między innymi dość obszerna przedmowa do niniejszej książki: tu bowiem, słusznie wyraziwszy ubolewanie, że mistrze naszej literatury niezawsze w utworach swoich pamiętają o tém, iżby takowe wyrugowaniem wszystkich obrazów i myśli zdrożnych uczynić także przystępnymi, bo nieszkodliwymi, dla dorastającej młodzieży, nader zdrowe kreśli wymagania i warunki, bez spełnienia których literatura dla wieku dziecinnego koniecznie zawsze pozostanie w niemowlęctwie. Wyznajemy, żeśmy pod tym względem niezbyt bogaci; na palcach policzyć można pisarzy takich, jak Klementynę Tańską, a podobno na to i wszystkich palców u jednej nawet ręki nie trzeba. Ś. p. Estkowski z pewnością byłby powiększył tak nieliczny ich zastęp. Swój „Zbiorek rzeczy swojskich“ obmyślił na kilka tomów; wszakże pierwszy ten już pozostanie ostatnim. Mieści on w sobie, według wskazania tytułu, rzeczy wyłącznie ojczyście: o naszej ziemi i jej okolicach, o naszym ludu i jego obyczajach, o naszych pamiątkach, miastach, płodach i literaturze, słowem o wszystkich skarbach rozrzuconych u nas po całym kraju, a tak mało jeszcze dotąd zużytkowanych. Ze szczególną obszernością traktuje Estkowski rzeczy litewskie i żmudzkie, ich mytologią, historią, podania, pieśni i zwyczaje; są tam również i szkice literackie, o Grzegorzcu z Sanoka, o Kochanowskim, Skardze, Kopczyńskim, Brodzińskim; są i czysto dziejowe, o wojnach z Krzyżakami i inne; są wreszcie częścią imaginacyjne ustępy, choć zawsze osnute na jakimś tle ojczyściem. We wszystkich tych artykułach, obok serdecznego przywiązania autora do przedmiotu i do samych czytelników dla których pisze, widny jest wysoki smak estetyczny, niekiedy nawet prawdziwy polot fantazyi. Język jędrny i czysty, bez sztuk łamanych, ale za to tém lepiej przemawiający do serca. Z sumiennego też przekonania książkę tę zalecamy młodzieży i troskliwym jej przewodnikom. Wydanie jest ozdobne i niekosztowne, bo cena blisko czternastu arkuszy ścisłego druku, na pięknym welinowym papierze, wynosi u nas złp. 8.

Dzieje rzymsko-katolickiego kościoła, w krótkich szczegółach zebrał ks. S. D. Wilno; nakład Józefa Zawadzkiego, 1859.

Ważne to dziełko, jakiego brak oddawna już w piśmiennictwie naszym uczuć się dawał, obejmuje historią Kościoła, od Wniebowstąpienia Zbawiciela, aż mnięj więcej do naszych czasów. Słusznie autor mówi we wstępie, że ogółowi chrześcijańskich czytelników znaną jest zwykle tylko historia święta, czyli dzieje starożytnego i nowego testamentu, z historią zaś późniejszego Kościoła tyle jedynie im wiadomo, ile się napotka ogólniejszych na nią poglądów w historii powszechnej, stanowiącej oddzielny przedmiot publicznego i prywatnego wychowania. A przecież nie widzimy powodu, dlaczego z tego wychowania wyrugowanym być miał dalszy ciąg owiej historii świętej, tyle w szczegółach swoich budujący, nauczający, a przytém wielce zajmujący? Otóż dziełko księdza S. D. ważną pod

tym względem zapewni próżnią i pożądanem będzie nawet dla dojrzałych czytelników świeckich; zapewne zaś byłoby jeszcze pożądanym, gdyby, zwłaszcza w życiorysach papieży, szanowny autor nie kierował się zbyt wyimkową treściwością. Wprawdzie nie przeczymy, że historia papieży nierównie mniej jest historią Kościoła, niż w dziejach politycznych jakiego kraju historia panujących historią zarazem narodu; kościół bowiem na trwalszej od życia ludzkiego stoi podstawie; ależ zawsze najwyższy kapłan jest punktem środkowym, do którego odnosi się cała współczesna mu epoka kościelna. Zarzucilibyśmy także autorowi, że zbyt mało zwrócił uwagi na dzieje kościoła w krajach słowiańskich, mianowicie w Polsce, choć mu na źródłach pod tym względem zapewne nie zbrakowało. Za wielką natomiast zasługę liczymy mu zupełne wyswobodzenie się od fanatycznych poglądów, prawdziwie chrześcijańską miłość w sądach i kapłańskie dla grzesznych pobłażanie. Całym sercem witamy to dzieło, jako jedno z najpożyteczniejszych w bieżącym roku pojawionych, i zalecając je usilnie naszym czytelnikom, prosimy zacnego autora, iżby w dalszych w tymże kierunku pracach na przyszłość nie ustawał; kiedy zaś raz już jesteśmy w trakcie proszenia, zwracamy się również do nakładcy z niemniejszą obligacją, żeby wydał swych nie drukował na tak ciemno-popielatym papierze, który nietylko że niemiłe wpada w oczy, ale je obok tego na dobre nadwiera. Cena niska, bo wynosi tylko 8 złp. za tom grubo, o 540 stronicach.

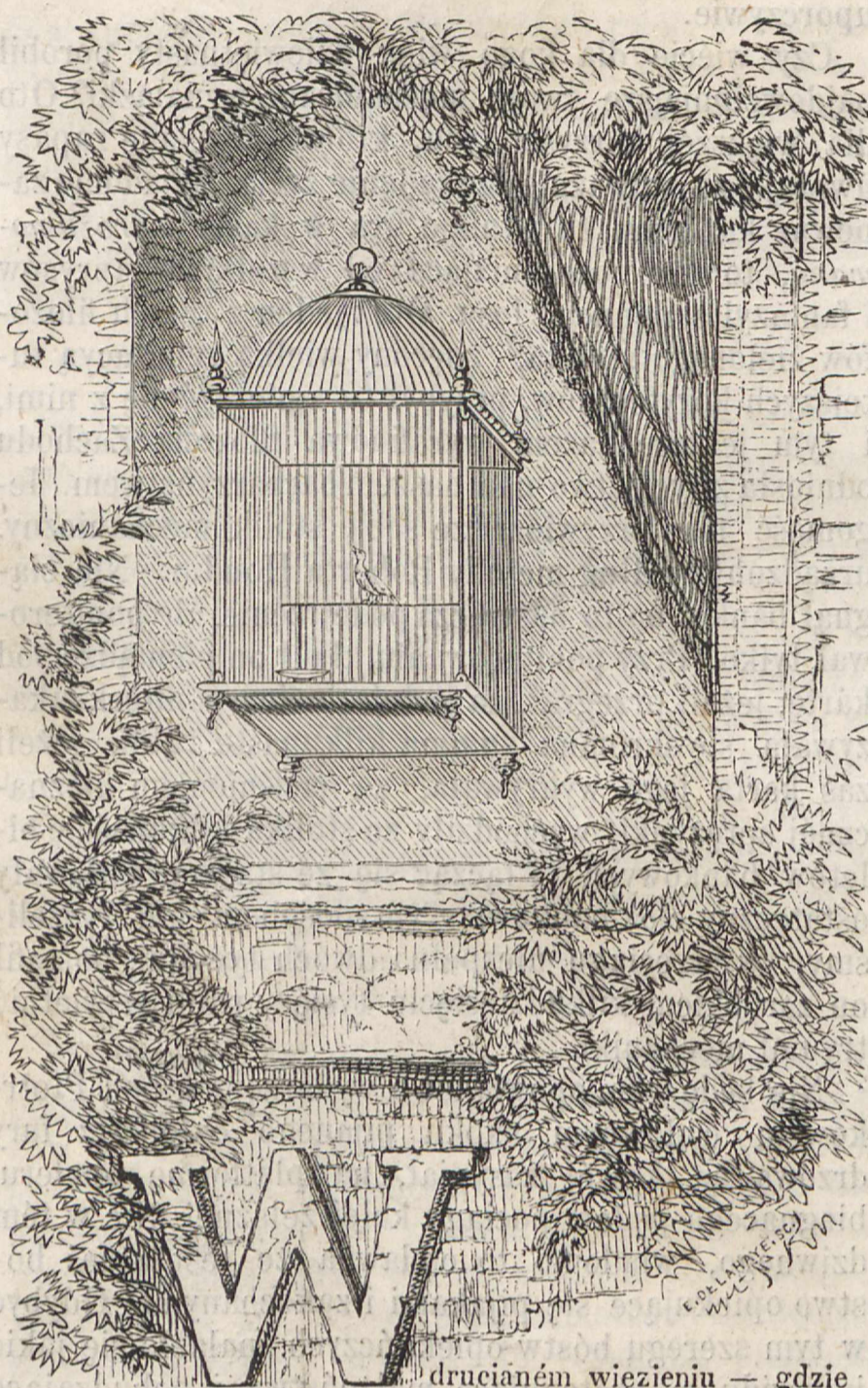
Biała góra, przez E. Fulhama. Z angielskiego przełożył Feliks Jezierski. Warszawa; nakł. T. Artzta, księgarza w Lublinie. 1859.

Utalentowany tłumacz „Złotej Legendy, Ewangeliny“ i kilku innych obcych utworów poetycznych, obznajmia nas w tym tomiku z mało znanym dotąd u nas poetą, Fulhamem. Treść spolszczonego tu utworu częścią jest fantastyczna, częścią wzięta z mitologii północno-amerykańskiej. Dziwna jakaś smętność odznacza w ogóle wszystkie celniejsze utwory wieszczów zaatlantyckich; panu Jezierskiemu radzilibyśmy w innym kierunku robić poszukiwania poetycznych oryginałów, żeby jednotonnością dzieł dotychczas przez siebie wybranych, nie popadł sam z czasem w nałóg przesady. Czyta się to, i czyta wcale gładko, ale najpiękniejszy nawet wiersz i zwrot nie rozgrzeje ci piersi, nie przemówi głębiej jak do ucha, lub w szczególnym razie niekiedy do imaginacji. Czego chciał poeta? napróżnobyś badał: jakiś to pogański, niezrozumiały dla nas mistycyzm, którego prototypem nazwalibyśmy skandynawską *Fritiofową Sage*, choć zaprawdę Tegner nierównie więcej potrafił władcę życia w swoje postaci, w dotykalsze przy najmniej oblec je ciało. Przekład, jak zawsze u. p. Jezierskiego, czysty i dźwięczny; nie mieliśmy wprawdzie pod ręką oryginału, żeby się przekonać o ile też wierny, ale znana już jest pod tym względem sumienność i zdolność tłumacza, który ściśle trzymał się umię pierwotworu, nie zadając przecież w niczem gwałtu naszemu językowi.

Złoty Medalik; powieść przez księdza Stanisława Falkowskiego. Wilno; w drukarni Syrkina. 1859.

Jaki był cel w wydrukowaniu, a przynajmniej w osobnym wydaniu tej powiastki, doprawdy nie pojmujemy. Cała książeczka obejmuje 31 stroniczek wielkości dłoni dziecinnej, z których każda mieści po 19 wierszy. Pomyśli kto może, że wewnętrzna wartość utworu zastąpi w nim brak obszerności; otóż jest to po prostu historyjka hulaki, który po grzesznym życiu, przez ducha czy portret swęj matki, zostaje nawrócony i wstępuje do klasztoru. Powiastka ta byłaby się może przydała.... już chyba nie wiemy do czego, bo nawet i w piśmie ludowym nie byłaby na swoim miejscu, dla nagich opisów niemoralności, przez które chce dojść do swego, w gruncie wprawdzie

ŚMIERĆ SŁOWIKA.



W drucianem więzieniu — gdzie kipi gwar miasta,

Zamknęli słowika;
Lecz chętka śpiewania tak wzrasta, tak wzrasta,
Ze pierś mu przenika.
Och nie masz tu cienia w olszniaku, w leszczynie,
Co głowę osłoni!
Och nie masz tu wtóru, bo strumyk nie płynie
Ze szmerem po błoni!
Och nie masz tu lubej, dla którejby warto
Choć skonać wśród pieśni!
Nie można wylecieć na przestrzeń otwartą,
Bo klatka lot cieśni.
Tu zamiast wietrzyka — o bruk kola grzmocą,
Aż trzęsą się ściany,
Tu kurzem osypie jadący karocą
Pan w złoto przybrany.
Tu zamiast strumienia, tłum płynąc jak woda,
I tętni i wrzeszczy.
Gdzie tutaj zaciszę, gdzie tutaj swoboda,
By wydać głos wieszczcy?
Aż chwieje się główka, aż pęka mu łono,
Kurżawa aż dusi;

Lecz kogo na świecie słowikiem stworzono,
Ten śpiewać już musi!

Poczyna piosenkę, w tony się rozpada,
Wygłasza swe żądze;
Gdy głuszy go ciągle przechodniów gromada,
Co liczy pieniądze.

Lecz silne, strzeliste śpiewanie słowicze
Przemagać poczyna.
Wóz tętni po bruku — o ja go przekrzyczę!
Tak myśli ptaszyna.

I nótę wciąż wyżej, a wyżej wystrzela,
Góruje głos młody!
Przypomniał swe chwile dawniejsze wesela,
Swe chwile swobody.

Przypomniał swój gaj i lube wieczory
Pod gęstą kaliną!
Przypomniał serdeczne, długie rozmowy
Ze swoją jedyną.

Jak budząc się ze snu, przed jutrznią, przed słońcem
W mgłę rannęj lał trele,
I głosem królując nad ptastwem tysiącem,
Był zawsze na czele!

„Przekrzyczę, prześpiewam niesforne te gwary,
„Pomimo hałasu!
„Do wyższej, do wyższej nastroję się miary!“
Tak myślał syn lasu.

Lecz bardziej a bardziej loskotów grzmią krocie,
Bruk miejski wciąż dudni;
A jakby naprzekór, w ulicznej ciasnocie
I ludniej i ludniej.

Ów, drugi przechodzień swe kroki zatrzyma
I słucha pieśniarza;
Pochwała tém bardziej pierś jego rozdyma
I zapał rozżarza.

Niebaczny! twój tryumf oplacasz zbyt drogo,
Cóż ciżby brukowe?
Zdobędziesz ich oklaski, lecz płakać nie mogą
Ich oczy matowe.

Sluchaczów, co płaczą lezkami roskoszy,
Potrzeba ci właśnie;
Tyś nieznał oklasków — bywało cię spłoszy,
Kto w dłonie zakłasnę.

Już ból wysilenia rwie piersi ptaszęce,
Skrzydzelka omdlały;
On tego nie czuje, bo w swojej piosence
Utopił się cały.

Całego słowika ogarnął szal pieśni,
Aż echem drga klatka;
Tém śpiewa donośniej, im cierpi bolesniej,
Z sił swoich ostatka.

A wozy wciąż huczą, a ciżba wciąż krzyczy,
Ci sobie, on sobie,
Aż pęknął od pienia gardziołek słowiczy
W ostatniej swęj próbie.

Daremnie w swe drobne skrzydelka szeleszcze,
Chwieje się i ślania,
Gorące serduszko zadrgało raz jeszcze —
Lecz taktem skonaniam.

I ten co pieśniami górował nad knieją
Tu zerwał swe siły;
A kola, po bruku szyderczo się śmieją,
Ze ptaszka zabiły.

Wł. Syrokomla.



OJCÓW.

OJCÓW.

O ile północna część ziemi naszej smutny i posępny przedstawia widok, o tyle południowa obfituje w prześliczne miejsca. Tam obszerne równiny pokryte zaspami piasku, moczarami, mnóstwem jezior i puszczy lesistych; tu różnokształtne, coraz wyżej wstępujące wzgórza, nagie skały malowniczo ugrupowane, zielonejące się równiny strojne różnobarwnym kwieciami, przerznięte wartkimi potokami, zachwycają wędrowca.

Po męczących jednostajnością płaszczyznach Wielkopolski, Mazowsza i Podlasia, miło odechnąć pełną piersią na krakowskich i sandomierskich wzgórzach, zapuścić się w dzikie wąwozy Karpat i przebiegłszy obok Morskiego-Oka i Pięciu stawów, spojrzeć z granitowego szczytu Łomnicy na zamglone wieżycę oddalonego Krakowa, lub ku południowi sięgnąć wzrokiem w serce Spiżu i Węgier.

Całe galicyjskie Podgórze, od

wcale chwalebego celu. Cena tej publikacji złp. 2, dość wysoka ze względu na jej wartość i objętość.

Szląka do Bukowiny, mnóstwo precudnych posiadają okolic; zdaje się że przyroda, marnotrawstwa ujęta szalem, rozrzuciła tu tyle skarbów; przeciwnie dla królestwa polskiego okazała się skąpą, i tylko południowe nadgraniczne obwody obdarzyła niewielką

liczbą pięknych miejsc, których perłę stanowi dolina Prądnicka.

Drogą od Krakowa na Szyce i Wielką wieś, kierując się od ostatniej wsi na lewo, zstępujemy w wąwóz, coraz głębiej i szerzej rozpościerający się pomiędzy dwiema wzgórz. Tu, po szmaragdowej dolinie, toczą się srebrne nurty Prądnika; raz płynie on spokojnie choć wartko, to znowu nagle skracając się napotyka na swą drodze zapórę skalistą; wtedy huczą pieniste fale, gwałtownie uderzają o głązy i nakoniec przeciężając przeszkodę, unoszą w tryumfie drobniejsze skały okruchy; dalej fale się uspokajają i w przezroczach ich widać mnóstwo igrających rybek, a kiedy niekiedy rzeźki pstrąg błysnie centkowaną łuską.

Skaliste ściany, jakoby ogromne zwałiska poszarpanego muru olbrzymów, rozciągają się po obu stronach Prądnika, obejmując w swym uścisku dolinę. Tu i owdzie ze szczelin wyrasta krzak dzikiej róży, albo piramida czarnego świerku. Piętrzą się nagie skały, strzelają w górę baszty, sterczą przepaściste urwiska, tworząc chaos, ale chaos tak wdzięczny, bezład przyrody tak harmonijny, że godzinami niepodobna odebrać wzroku od tych dzikich piękności.

Cudna szata pokrywa to śliczne ustronie, lecz niemniej wspaniałe widoki kryją się w jego łonie. W wnętrzu ścian gór istnieją podziemne gmachy, z stalaktykową rzeźbą u stropu i fantastycznie pogmatwanymi ścianami. Ciemność rozjaśniona czerwona łuną płonących gałęzi smolnych, cichość przerywana szelestem spadających kropel wody, lub szumem skrzydeł nietoperza, nadają tym grotom pozór przedsiönka nieznanego świata i dreszczem przejmują wchodzącego tam pierwszy raz podróżnika.

Naturaliści nasi, zwidzający tak często dolinę Prądnicką, opisali ją wielokrotnie pod względem geologii, roślinności i fauny; zwróćmy się więc raczej ku duchowej stronie tego miejsca, ku pamiątkom przeszłości.

Środek doliny zaległa wyniosła, prostopadła ściana, a na niej rozpostarły się rozsypane zwałiska zamku ojcowskiego. Stoi jeszcze tylko ośmiokątna baszta, która mocą swą oparła się groźnej potędze czasu... reszta, to tylko szczątki murów, zasypujące gruzem rowy i przepaście. Kirspustoszenia pokrywa wszystko.

Rzewne usposobienie ogarnia wędrowca dumającego wśród tych ścian opuszczonych.

Mysł zapuszcza się w przeszłość; wyobraźnia ożywia głązy i zaludnia je od wieków znikłymi postaciami. Zda się że widać błędzące cienie Szczepczyca i Wityslawy, bolejące nad osieroceniem miejsca, kiedy pod potężną opieką Krzywoustego, wolni od przemocy Skarbimirza, pędzili roszkowne chwile. Czas bieży, myśl ściga jego szybki przelot. Dolinę napelniają najezdnicze hufce Wacława, przetrząsają każdą chatę, a postrachem i męką chcą wydrzeć z piersi wieśniaków wiadomość gdzie się ukrywa Łokietek, ten straszny dla nich syn Piastów, chociaż tułaczą okryty siermięgą. Wódz czeski na zamku krakowskim, ani Wacław na Hradzynie nie zasną spokojnie, dopóki mara wygnańca spoczynek ich niepokoić będzie... W królewskiej grocie płonie ognisko, rozniecone pośród kości przedpotopowych zwierząt...; około niego siedzi na głązie z obnażonym mieczem Władysław i słucha opowiadania wiernego przyjaciela, który czaty wrogów omylić zdołał i przedarł się do tego schronienia. Opodal spoczywa kilku towarzyszy ściganego księcia, a u wnijsia

czuwa nad jego bezpieczeństwem stalowy rycerz, nad słuchując od której strony wiatr przynosi echo czeskich rogów. Po chwili cały orszak opuszcza tajemnie grotę i uprowadza wodza w bezpieczniejsze miejsce.

Rozpływa się we mgłach ten obraz i ustępuje miejsca wspaniałej króla chłopków postaci. Z miłością i łzą w oku spogląda on na wznoszące się mury zamku, który stawia ku pamięci nieszczęść ojcowskich, a kiedy go przytomni zapytują, jaką nazwę ma nosić gród nowy, z rozrzewnieniem odpowiada: „Nazwijcie go Ojciec.“

Nad zamkiem unoszą się postacie rycerskie następnych panów w Ojcowie; nazwiska ich nieznanne, widać tylko że to mężowie zasłużeni krajowi, bo noszą na poważnych licach ślady ciosów nieprzyjacielskiej broni.

U stóp baszty błędzą cienie Korycińskich, smutno patrzą na upadek miejsca w którym tak długo przebywali, które dźwignęli z ruiny. Stefan ma wzrok wyteżony ku południowi, bo ztamtąd przybywają



SPOWIEDŹ W KOŚCIOŁKU WIEJSKIM.

hordy skandynawskie, ażeby w perzynę obrócić pomnik miłości synowskiej.

Sasi rządzą krajem, a starostowie po bisurmańsku gospodarują po starych zamkach. Ojcowychyli się coraz bardziej; nawet uroczystości odprawiane ku przjęciu króla Stanisława Augusta nie zdołają zapobiedz jego ruinie. Widma te zgrozą przejmują duszę, a dla Ojcowca ostatnia wybiła godzina; ręka ludzka dokonuje zagłady, bujne chwasty porastają ten cmentarz dawnej wielkości, i przyjdzie może czas, że jakiś późniejszy nabywca z cegieł porzucanych zbuduje gorzelnię, albo zwałiska sprzeda jakiemu obcemu przybyszowi.

Ale nie, jeszcze opieka Boska czuwa widać nad Kaźmirzowym grodem. Troskliwy o szczątki szacownego zabytku, nabył go mąż pełen miłości dla pamiątek naszej ziemi i postanowił otoczyć pieczę upadłe mury, a ziomkom pielgrzymkę do nich ułatwić. Wiadomość o tém podały obszernie pisma warszawskie; my tylko dodajemy: „niechaj Bóg pobłogosławi jego zacnym zamiarom.“

Spowiedź w kościółku wiejskim.

(Obraz J. Szermętowskiego),

Jednym z ważniejszych i udatniejszych obrazów rodzajowych p. Szermętowskiego, jest spowiedź kmiołków w kościółku wiejskim. Przedmiot to z natury swojej piękny, bo przedstawia jedną z ważnych stron charakteru narodowego, to jest czystą i szczerą jego pobożność. Jakkolwiek z pozoru zadanie tego rodzaju, pełne prostoty i spokoju, nie zdaje się przedstawiać wielkich trudności, tak wkompozycy jako i w wykonaniu, gdyż artysta nie potrzebuje tu w fantazyi szukać charakteru figur i ich otoczenia, ale wykonać je może z przypomnienia natury, którą często na żywe oczy widział; jednakże, gdy stawimy sobie w myśli wyższe dążenia sztuki i jej znaczenie, przedmiot tej kompozycy stanie się bardzo trudnym, ale też i wzniosłości pełnym.

I tak, gdyby cała ta scena wykazywała religijne skupienie ducha ludu, co w pierwotnej swjej naiwności, niezmaconej żadnym rozumowaniem światowym, przychodzi Bogu złożyć cześć, przez uznanie słabości swjej, wtedy przedmiot ten nabrałby rozległego znaczenia.

Nie stawiamy tu tego pojęcia jako zarzut, bo jesteśmy przekonani że taka myśl przeglądać tylko może z obrazu mistrza, bogatego rozległą wiedzą i dojrzałego wiekiem. Obraz którego drzeworyt podajemy, wykonany przez młodego artystę, ma zaletę prawdy zewnętrznej, miejscowej, przytém kolorytjasny, powietrzny, światło szczęśliwie zastosowane, a choć nie uderza we wewnętrzne znaczenie, przyjemne nastęcza przypomnienie tych scen uroczystych, co zrosłe z obyczajem rodzinnym, mają dla nas wiele serdecznego powabu.

KRONIKA

sztuk pięknych.

MUZYKA.

Poranki abonamentowe Józefa Wieniawskiego. — Koncerta w resursie kupieckiej pod przewodnictwem p. Apolliniego Kątskiego. — Nauczyciel śpiewu Bussého w przekładzie polskim. — Mazur Kujawiak Nowakowskiego. — Taniec Cyganki Moniuszki.

Trzeci już tydzień upływa od ostatniej naszej kroniki muzycznej, a przez ten czas taka ilość różnego rodzaju spraw w dziedzinie tej sztuki u nas się namnożyła, że doprawdy w kłopotcie jesteśmy, bo nie

wiemy od czego zacząć. Czy od drugiego koncertu Tausiga? może lepiej o nim nie wspominać; skoro bowiem publiczność warszawska w wystąpieniach tego młodego fortepianisty nie znalazła żadnego dla siebie zajęcia, skoro na koncerta jego pójść nie miała ochoty, to i dla was, szanowni czytelnicy, sprawozdanie o nich nie byłoby zapewne rzeczą zbyt ciekawą. Podobno już owym egotycznym koncertom wypadnie nam zaśpiewać *requiescant in pace*; wszelkie w tym względzie usiłowania od pewnego czasu rozbijają się o puklerz obojętności publicznej, jak fale morskie o granitowe brzegi lądu. Trochę dziennikarskiego szumu, trochę piany zżymających się na kieszenie i uszy niczym nieporuszonych słuchaczy, oto wszystko co z tych jałowych w gruncie rzeczy i usiłowań do zanotowania pozostaje, nie mówiąc już nic o zawiedzionych albo wprost przeciwnych w wypadku nadziejach finansowej rachuby wirtuozów. Wieniawski Józef, znany z niepospolitego talentu artysta, zrozumiawszy dobrze wymagania w obecnej chwili ogółu, pojmując właści-

wie stanowisko swoje względem tegoż i względem sztuki muzycznej, wezwał do pomocy najzdolniejszych tutejszych artystów, i ogłosił trzy poranki abonamentowe, mające się odbyć w salach reutowych, w trzy po sobie następujące niedziele bieżącego miesiąca. Podstawą ich mają być kompozycje Mozarta, Beethovena, Hummła, Mendelsohna i t. p., obok innych salonowych, z którymi zrywać nie można; żywił więc klasyczny, raz szczerze do tego rodzaju przedsięwzięć wprowadzony, nadając im pewien urok powagi i szlachetności, zgodnej z coraz więcej rozwijającym się na tej drodze postępem muzycznym u nas, zachęcił publiczność do przyjęcia w nich szerokiego udziału, i czterysta biletów abonamentowych rozebrano w krótkim przeciągu czasu. Prawda że cena ich, zniżona do połowy prawie tej summy, jaką sobie wirtuozi aż dotąd naznaczali, nie ma także znaczenia. Dzięki pomysłowi p. Wieniawskiego, nie biorąc nawet biletów abonamentowych, za pół rubla można się przysłuchiwać z galerii muzyce wykonywanej na jego porankach; wyrzekającym w dzisiejszych czasach na nieogłędne szafowanie pieniędzmi, zachęcającym do pożytecznej oszczędności w wydatkach, zadosyć się staje. Odtąd lubownicy sztuki muzycznej za małe pieniądze pragnienie swoje zadowolnić będą w stanie, gdyż przykład ten zmusi każdego do naśladowania.

Drugim godnym także zanotowania faktem, jest postanowienie komitetu resursy kupieckiej, mające na względzie przyjemną zabawę nietylko swych członków, których liczba do tysiąca dochodzi, lecz ich rodzin, dotychczas żadnego prawie w zgromadzeniach resursowych nie biorących udziału. Tym węzłem łączącym wszystkich w jedno towarzyskości ogniwo, ma być muzyka; komitet, raz zdecydowawszy się na ten krok chwalebny, kierunek nad nim powierzył znakomitemu artyście Apollinarem Kątskiemu, znanemu dobrze z gorliwości, energii i wytrwałości w podobnego rodzaju przedsięwzięciach. Pod przewodnictwem tedy Kątskiego, w ciągu zimy i przez czas postu, ma być dany w resursie kupieckiej dziesięć koncertów; na każdym z nich, jeżeli orkiestra użyta będzie do działania, wykonaną zostanie jakaś symfonia, jeżeli zaś przyjdzie kolej na muzykę tak nazwaną pokojową, wówczas najznakomitsze arcydzieła w doborowych kwartetach i kwintetach przedstawionemi zostaną uwadze słuchaczy. Myśl dawania takich stałych wieczorów muzycznych nie jest nową; przed laty dwudziestu kilku istniały one już w resursie i miały wiele powodzenia; różne okoliczności stanęły im później na przeszkodzie, a najwięcej szczególne zamiłowanie do gry, lecz nie muzycznej wcale. Dziś, gdy przekonano się że nie jednym tylko chlebem powszednim ludzie żyją, zwrócono się do sztuki, i postanowiono spróbować, czyli pochodzące z niej moralne i estetyczne następstwa, nie będą w stanie choć w części zrównoważyć silnie zakorzenionego miejscowego obyczaju. Zobaczymy tedy, czy pamfili i niżniki długo pozwolą gospodarować skromnej i nadobnej muzyce.

W właściwym czasie nie omieszkamy donieść czytelnikom naszym o wypadku wyżej wspomnianych artystycznych zamiarów, a teraz chcielibyśmy jeszcze wspomnieć choć pobieżnie o kilku świeżych wydawnictwach, mogących ogół nasz oddający się sztuce muzycznej obchodzić.

Nakładem G. Gebethnera i spółki, wyszła druga już edycja szkoły pod tytułem: „Nauczyciel śpiewu“ Fryderyka Bussego, w tłumaczeniu polskim Józefa Sikorskiego. Jest to zupełny zbiór przepisów teoretycznych i ćwiczeń na wszystkie głosy, jak: sopran, mezo-sopran, alt, tenor, baryton i bass, do nauki śpiewu niezbędnych, zastosowany do użytku uczniów początkujących i wykształcających. Sikorski drugą tę edycję poprawił i wieloma dopełnieniami wzbogacił. Zbyteczną byłoby rzeczą zastanawiać się nad korzyściami jakie z tej szkoły odnieść musi każdy, co w nauce śpiewu rad szukać środków zachowania i wykształcenia głosu; obszerne przepisy teoretyczne, wyłożone jasno i dokładnie, tudzież praktyczna część dzieła zmierzająca do nadania mu siły, giętkości i stopniowego rozwoju, w wielu razach wystarczą za nauczyciela; o którego na prowincyi szczególnież niezmiernie jest trudno. W tym więc celu głównie polecamy dzieło to uwadze powszechniej, w przekonaniu że nie małą przysługę wewnętrzną swoją wartością wyświadczyc może pragnącemu się kształcić w śpiewie ogółowi.

Taż sama firma wydała także w niezwykle ozdo-

bniej edycji „Mazura Kujawiaka“ na fortepian Józefa Nowakowskiego (dzieło 38). Prześliczna kolorowa winieta, rysunku Gersona, wyobrażająca kilka par Kujawiaków, tańczących przy odgłosie skrzypców i bassetli, mogłaby śmiało być ozdobą każdego rysunkowego zbioru, każdej ściany artystycznymi utworami sztuki przyrodzianej, tyle w niej wdzięku, powabnej prostoty i wykończenia. Może kolorysty jęć cokolwiek za siny, ale za to typy włóścian naszych wiernie schwycione i z talentem ugrupowane. O muzycznej wartości tego dziełka krótko powiemy: charakter mazura, wpadający nieco w kujawiaka, dobrze oddany, pod względem mechanicznych trudności przystępny, zaleca się jasną, wdzięczną melodyą i jak wszystkie utwory Nowakowskiego, poprawnością harmonijną; zaleca to niezmiernie rzadka, niestety, w wielu utworach naszych miejscowych kompozytorów. Mniej ozdobnym dziełem, ale bogatszym w treść artystyczną, jest wydany nakładem Michała Glücksberga „Taniec Cyganek“ Stanisława Moniuszki.

Kto był w roku bieżącym na przedstawieniu w Wielkim teatrze „Cyganów“ Korzeniowskiego, ten zapewne przypomni sobie piękny chór i tańce, mające miejsce zdaje nam się w trzecim akcie tego dramatu. Otóż twórca „Halki“ ułożył go na fortepian i pod powyższym tytułem wydał na widok publiczny. Jest to ustęp nacechowany wybitnym charakterem, wartością wewnętrzną przewyższający wszystkie owe „Dances bohémiennes“, jakimi zagraniczni kompozytorowie od lat wielu nas massami zarzucają, a w których oprócz zręcznego niekiedy pod względem palcowania układu, ani krzty prawdy charakterystycznej nie ma. Dlaczego nakładcy nasi posyłają rękopisma aż do Lipska, gdy posiadamy już wyborną sztycharnię nut w Warszawie? „Mazur“ Nowakowskiego, odbity w zakładzie W. Otto przy ulicy Bielańskiej, w niczym nie ustępuje najlepszym zagranicznym tego rodzaju wydaniom; więc powinniśmy się obejść już bez pomocy obcych i sami sobie wystarczyć. W każdym razie ilość tutejszych nakładów nie jest tak wielką, ażeby jedna dobrze urządzona sztycharnia podołać im nie była w stanie, a przecież co do ceny nut wyrabianych na miejscu, znaczna na korzyść ich domową wypaść powinna różnica.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lwów dnia 20 listopada 1859 r.

Dziwnie mało wiadomości znajduję w pismach warszawskich o pisarzach polskich, drukujących swe utwory we Lwowie. Mało który z tych utworów, czy to osobno, czy w pismach czasowych ogłoszonych, musi was dochodzić, i tęp tylko tłumaczymy sobie to milczenie. W kilku listach zamierzyłem choć pobieżną o pracach tutaj wydanych dać wam wiadomość, a przytęm i o pisarzach samych. Zaczę od poetów.

Z młodszych pisarzy, z pomiędzy kilkunastu doświadczonej swych sił w poezyi, trzech tylko niezaprzeczony okazało talent: Józef Szujski, Adam Pajgert i Mieczysław Romanowski. Najwyżej stawię Józefa Szujskiego. Młody to, zaledwie 25 lat liczący poeta. Nie zaczynał on zawodu swego od drobnych wiérzyków, lecz od razu w obszerniejszym próbował się poemacie, którego tytuł: „Tajemnica śmierci hetmańskiej.“ Bitwa pod Cecorą i śmierć Żółkiewskiego stanowi tło, na którym poeta wielkiej piękności wysnuł obrazy. O całości tego poematu nie mogę dać jeszcze sądu, bo tylko kilkanaście ustępów wydrukował „Dziennik literacki.“

Drugim większym utworem Szujskiego była tragedia: „Samuel Zborowski“, dotąd jeszcze całkowicie niewyszła z druku. Wyjątki tylko umieszczał „Dziennik“. Wyżej od Samuela Zborowskiego stoi dramat: „Radziejowski“, który prawie cały był wydrukowany w powyższym wymienionym piśmie. W obu tych dramatach widać, iż poeta rozległe czynił studia historyczne, że poznał gruntownie epokę którą kreśli. Dramata te napisane są dla sceny. Wielki w nich ruch dramatyczny, chociaż poeta wiernie się trzymał historii.

Ustępy tego dramatu zwróciły powszechną uwagę na poete, który się był nawet pod niemi nie podpisał.

Poemat „Jan z Rożnowa“, drukowany na początku roku 1858, ma wiele pięknych ustępów, ale jest on jedną z początkowych prób Szujskiego, chociaż później był wydrukowany; łamie się w nim jeszcze językiem. O wiele wyżej stoi później napisany poemat: „Jacek Brzuchański“, do którego treść wziął z gigantomachii Kordeckiego. Brzuchański był organistą w mieście Częstochowie i utrzymywał korespondencje Kordeckiego z krajem, podczas oblężenia klasztoru. Przytęm donosił o wszystkim, co się w obozie szwedzkim działo. Schwytany przez Szwedów, zniósł wszystkie męki, i ani słowem nie zdradził położenia oblężonych.

Wtedy twarz zniekaną

Nagle rozświecił jakaś myśl natchnienia,
Twarda dusza ozwała się w staruszkę ciele,
Podniósł oczy i nagle wypokojniał dziwnie,
Nie rzekł ni słowa skargi, nie rzucił się gniewnie,
Ani o litość prosił swoje trapiące.

Wprowadzony przed Millera, stary organista, że nie chce nic mówić o klasztorze, wzięty na tortury. Gdy naciąganie członków nic nie pomogło, palono go żelazem, rwano ciało kleszczami. W tym bólu Jacek wpada w zachwyt religijny; a gdy oprawca kleszcze zapuścił w starca ciało, zadrgał męczennik. Miller już myślał że rozwiążą się starcowi usta. Wtęm Jacek rzucił się z gruchotem o ziemię.

Głowa jego biała

U stóp Millera w włosy srebrne się rozwiała,
Podniósł ją jeszcze w górę, ku niebu gdzieś zwrócił.
Wtęm wszyscy się nagle od niego cofnęli,
Tak była jasną.

Oślupiał pan generał na środku namiotu,
Oślupieli wodzowie. Aż głosem grobowym
Wyrzekł wódz: „Starca złożyć na łożu bojowym
Mojem własnym, i w dobrém mieć go zachowaniu,
A jutro niech trębacze dadzą znak odwrotu.“
Nikt się nie oparł generała zdaniu,
A Miller czoła swego ku ziemi ugina:
—„Vicisti, diva mulier, vicisti regina!“

Najpiękniejszym ustępem poematu są pieśni XIX i XX, opisujące sen Jacka, gdy go złożono na Millerowym łożu. Śni mu się, iż zaszedł do nieba. Brama się otworzyła, witają go anieli. W niebie obchodzą właśnie Boże narodzenie. Widzi tam całą rodzinę swą, i zmarłych mieszczan, i zakonników. Dalej rzędem idą panowie, szlachta, dygnitarze, hetmani, biskupi, a za nimi postępują królowie, protektorowie Częstochowy. A wszyscy się z nim serdecznie witają, łamią opłatkiem.

Ale obudził się Jacek nie na łożu Millerowym, lecz bezprzytomnego Szwedzi odchodząc przywiązali do szkapę, którą napędzili do Częstochowy. Jacek więc, gdy przyszedł do siebie, znalazł się przed bramą klasztoru, gdzie go przyjęto z wielką uroczystością.

W przeszłym roku napisał Szujski dramat: „Dzierżanowski“, który drukowany był w Dzienniku literackim, a teraz wyszedł osobno. Napisał on go dla sceny lwowskiej. Próbował się w tym dramacie po raz pierwszy prozą. Bohaterem jest Dzierżanowski, ów znany awanturnik, król Madagaskaru czy wysp sandwichskich, który tak dwuznaczną między konfederatami odegrał rolę.

Jest mnóstwo pięknych scen w tym dramacie, ale zanadto wiele francuzczyzny przymieszał autor, zanadto jaskrawymi barwami maluje ówczesny stan społeczeństwa. Wrażenie więc ten dramat czyni przykre, a co do poetycznej wartości nie dorównywa poprzednim utworom tego pisarza.

W drukowanej niedawno w Dzienniku literackim fantazyi dramatycznej: „Śmierć Proroka“ rozwinął Szujski całą świetność swęj prozy. Przedstawił on Mojżesza na pustyni i jego śmierć tajemniczą. Dumę Mojżesza pojmuje jako przyczynę kary, iż prorok nie mógł wejść sam do ziemi obiecanej. „Wielcy jesteście my!“ mówi Mojżesz: „On na niebie, ja na ziemi!“ Zdaje mu się że nie Bóg, ale on lud izraelski prowadził, że na jego rozkazy stanęły wody morza i palił się obłok puszczy. Jozuego wyobraża poeta jako wielkiego pokorę przed Bogiem i miłością ludu. Wtęm misteryum biblijnym, jak swą fantazyą dramatyczną nazwał Szujski, przeprowadza on walkę w duszy Mojżesza, z której ten w końcu wydobywa się zwycięsko, uznaje błąd swój i słuszność kary, jaką sobie na wezwanie Azraela sam wyznacza.

„Niech nie widzę ludu mego,“ mówi Mojżesz, jak wstąpi na ziemię obietnic, niech nie spoczne w cieniu drzew Kanaanu, ale niech umrę przed jego progiem, a lud niech nie pogrzebie ciała mego.“

Przed śmiercią daje mu jeszcze Pan widzenie przyszłych losów Izraela. Jestto jeden z najpiękniejszych ustępów tej fantazyi. Mojżesz widzi ziemię obiecaną, widzi wznoszące się tam miasta, i rozradzające się plemię swe, i srebrną wstęgę Jordanu, i Betleem maluczkie, kędy narodzi się mąż przyszłości, i Nazareth, i Jeruzalem, miejsce proroków i królów, i górę Golgotę, i grób Zbawiciela, i wznoszący się potem przez świat cały Kościół powszechny.

Szujski pisze także wiele pieśni lirycznych, lecz wartość ich rozmaita. Niektóre są perłami najczystszej wody, inne rzucane dorywczo lub pisane w młodszy wiek, a teraz wydobywane z teki do druku.

Aby wam dać poznać i talent liryczny tego poety, przytaczam tu na zakończenie wyjątek z pieśni jego pod tytułem „Burza.“

Huk słycać zdala, w krańcu widnokrega
Szaleje burzy niszcząca potęga.

Węzem się sunie, jak słup Mojżeszowy,
Porywa ziemię w żelazne okowy.

Tu cisza jeszcze, duszność i obawa;
Zwarzona skwarem, schyliła się trawa.

Zwierz niespokojny wiatr z pola zachwyta,
Jaskółka krąży, ulewy wróźbita.

Pies mój pod stopy me trwożny się kryje,
I czuję, jak mu w piersiach serce bije.

Chmura, jak orkan oceanu chyży,
Zamgliła bory i sunie się bliżej.

Coraz to bliższe drzewo wiatr napada;
Nie widać chaty już mego sąsiada.

Brzoza, co stoi na mojem już polu,
Warkocz puściła w wiatr i skrzypi z bólu.

Topola śmigła, jak dziewczę złamane,
W drganiach konania prze o chaty ścianę.

Krzaki i trawy chylą korne skronie,
Szuwar na stawie muszce wodne tonie.

Ptactwa wodnego krzykliwa gromada,
Jak chmura w ciemną sieć sitowia wpada.

Z chaty dziecięta główki pokazały,
I przed błyskawic światłem je schowały.

Huczy grom blizki, południa powietrze,
Gdy chmura piersią z drugimi się zętrze.

Ja stoję jeszcze i kropla szeroka
Na czoło spada mi z obłoków stoka.

Wtedy się rzucam pod stopy szalonej
Burzy, pokorny, cichy, zniestwiony.

I czuję z trawą, co podemną leży,
Olbrzymią walkę powietrznych rycerzy.

Czuję jak piorun przemyśli wa srodze,
Czy mnie uderzyć, czyli dąb przy drodze.

Ignacy w trzy dni odzyskał przytomność i obejrzał się dokoła siebie. Właśnie obok niego konał w konwulsjach biedny jakiś proletaryusz, a temu konaniu towarzyszyły chórem jęki z kilkunastu łózek. Proletaryusz skonał nareszcie i zastygł. Gdy to postrzegła służba szpitalna, dała znać dyżurnemu doktorowi, który zrewidowawszy zimne ciało, dał znak ręką że wszystko skończone. Wtedy jedna z siostr miłosierdzia ukłękła i głośno odmówiła modlitwę za umarłego, a chorzy ucichli na odgłos tej modlitwy, boleści ustawały na widok śmierci. Po modlitwie przyszli posługacze szpitalni, zdjęli dobrą jeszcze bieliznę zmarłego, włożyli nań świeżą ale zużytą, rozciągnęli płachtę do dwóch drągów przymocowaną, złożyli na nią trupa, wzięli na barki i wynieśli do trupiarni. W tej chwili inna służba zmieniła pościel, i wniesiono nowego kandydata do sali gorączkowych, który czekał na swoją kolej w przysionku szpitalnym.

Te dwie operacje dziwne zrobiły wrażenie na Ignacym; zrozumiał gdzie się znajduje, przecierał jednak oczy, jak gdyby sobie nie wierzył jeszcze. Wrażenie było silne, uczył żal i przestach razem, począł rozpamiętywać ostatnie chwile z czasów zdrowia, jęknął boleśnie i twarz ukrył w poduszkach, nie mogąc patrzeć na światło dnia jasnego. Ale tej chwili zbliżył się doktor dyżurny w kolejnej chorych obsłudze, z nim chirurzi posługujące. Zbudzono go z odrętwienia; Ignacy chwilę leżał, poddając się rewizji bezwładnie. Nareszcie zbudziła się w nim energia, zerwał się z poduszki, wsparł na rękę i zapytał:

— Dawno tu jestem w szpitalu?

— Czwarty dzień dopióro.

— Ja tu nie mogę zostać godziny więcej. Czuję się zdrowszym, doktorze; ja natychmiast ubrać się chcę i wyjechać. Nie jestem tak biednym, aby zabierać ubóstwu miejsce w szpitalu.

— To niepodobna, mój panie, jesteś parę godzin po kryzys, każde poruszenie może wrócić stan niebezpieczny!

— Któż panu powiedział że mi tak drogie życie? To moja najstraszniejsza choroba — życie!

— Co pana do tej rozpaczki przyprowadza?

— Pozwól, doktorze, zachować tajemnicę. Wielkie wstrząśnienie wprawiło mnie w ten stan gorączkowy; ale czuję się przy dawnych siłach napowrót. Proszę o jedyną pomoc jakiej pragnę: wyprowadź mnie z tego przybytku boleści i śmierci. Jeżeli chcę umrzeć, to nie tutaj!

Doktor zrewidował chorego, kiwnął głową i posłał po intendenta. W godzinę Ignacy siedział w dorożce, spiesząc na Powązki. Tam w kancelaryi dowiedział się że Zosia onegdaj pochowana; karawan był czteroosobowy, trumna czarna, nabożeństwo w powązkowskim kościele, na którym nikogo nie było, oprócz stariej kucharki, która bardzo płakała.

Poprowadzono nareszcie Ignacego na grób Beatryczy, śpiącej snem wiecznym w towarzystwie pierwszej żony swojego tyrana, która tak samo skończyła na boleści serdeczne. Na grobie leżał wianeczek świeży z barwniku i ruty, wianek jakiego codzień dostanie u żebraków oblegających mury cmentarza. Kupiła go i położyła poczciwa kucharka, jedyna strażniczka grobowca kochanej pani. Ignacy zadumał się głęboko, łza nie wyszła na oczy, stał długo odrętwiały, a potem ukłękł na grobie, ucałował zimny kamień, odmówiwszy z wielką omyłkami Zdrowaś Marya, za duszę Beatryczy swojej.

Wincenty o tej samej co zawsze godzinie zajechał do bramy szpitala, dowiedzieli się przez stróżów o chorego, za co wyrzucił z własnej kieszeni co dzień piętnaście groszy. Zdziwił się atoli niepomału, gdy mu powiedziano że chory nr. 165 rano szpital opuścił, zabrawszy ze sobą rzeczy. Gdzież on być może od samego rana? Wincenty, zmieszany okropnie, wraca do domu, ale gdy wszedł do pokoju towarzysza, zastaje go przy oknie. Czyżki krzyczą radośnie, mimo zapadającego zmroku, pieśń akompaniują im wesołym szczerkaniem, biega po pokoju, skacze po wszystkich meblach radośnie. Ale Ignacy stoi nieruchomy, błądy, milczący; nie posunął się nawet ku towarzyszowi, aby uściskać podaną sobie rękę.

— Co tobie jest, Ignacy? tyś chory jeszcze...

— Jestem zdrow zupełnie.

— Tak patrzysz dziwnie na mnie, jakby zagniewany...

— Nie pamiętałeś o moich kwiatkach; lewkonie zwiędły. Zapomniałeś o ptakach; jeden czyżyk, i to najła-

skawszy, zdechł z głodu. Patrzaj na biednego trupa, nic nie ma w gardziółku.

— To ten szelma Maciek winien wszystkim! Wypędzę niepoczciwca natychmiast! Ale co tam o bagatelnego troszczyć się ptaka. Jakże twoje zdrowie?

— Jak widzisz.

— Masz apetyt?

— Wracam z obiadu.

— A humor?

— Nie psuj mi trawienia; jestem smutny jeszcze, a przytém wspomnienie szpitala gdzie mnie ulokowałeś...

— Ignasiu, czy ty oszalałeś?! Miałem cię zostawiać w rękach Maćka niezdary, gdy sam wychodzić muszę do biura?

— Mogłeś mię w osobnym umieścić numerze.

— To kosztowne, możebyś się gniewał, a wreszcie samemu nudno okropnie!

— To prawda.

— Twoja Beatrycza pochowana, byłem na pogrzebie.

— Dziękuję ci, mówiła mi o tém...

— Kto? Zofia?!

— Tak jest, ona sama.

— Ignasiu, ty majaczysz, ... tyś jeszcze chory...

— Nie, ja zdrow jestem, tylko serce ożyło, tyle lat wędniejąc, dusza, posilona okropnością wrażeń, czuwać zaczęła i obcuje ze światem niepojętym dla ciebie.

— No, no, rozumiem, rozumiem cię Ignasiu. Boli cię, i słusznie, kiedy kochałeś. Ja nie byłem nigdy tak głupi, żebym się awanturował w miłości z urzędowym wdychaniem. Ale mam nadzieję że ty wydobrzejesz powoli. Za pół godziny przyjdzie radzca i Staś na wista. Mieliśmy grać z dziadem; chwała Bogu że będzie cała partya, to cię rozerwie.

— Ja nie będę więcej grywał.

— Dziwak jesteś! To się połóż i wypocznij!

— Wypoczywałem lat dwadzieścia.

— Waryat z ciebie! No, no, to przejdzie!

(Dokończenie w następnym numerze.)

ROZMAITOŚCI.

Pierwsza lokomotywa która przebiegała kolej żelazną wystawioną jest teraz na widok publiczny w Dalington. Zbudował ją zmarły niedawno Stephenson w r. 1825, a wówczas cały świat wyjechał z podziwienia, na wieść iż lokomotywa ta w 4 godzinach przebiega 5 mil geograficznych, i do tego obciążona czterema wagonami węgla kamiennych.

Nieszczęśliwe wypadki w fabrykach angielskich w r. 1858. Całkowita liczba ich wynosi w przeciągu 6 miesięcy 1856, z których 37 śmiertelnych, 271 zaś zakończyło się amputacją, najwięcej rąk.

Urzędowe sprawozdanie wyjaśnia, iż wypadki te po największej części były skutkiem nieostrożności. Zawikłana konstrukcja, szybkość, a mianowicie ciasnota w jakiej maszyny są ustawione, spowodowały owe nieszczęścia. Ażeby zmniejszyć ich liczbę, fabrykanci zaczynają zaprowadzać baryery żelazne w około części maszyn szybkiego ruchu podległych, a nadto przestrzegają ażeby pracujący nosili suknie do ciała przylegające, wystrzegali się użycia surdutów z połami, długich i szerokich rękawów, kobiety zaś szerokich sukien, chustek i szalów.



P. P. W. N. i P. M. w Warszawie. Za nadesłane rebusy dziękujemy. Jeden, z małymi zmianami, zostanie zapewne użyty w „Tygodniku“; drugi nie zadany podług prawideł.

P. L. P. w Kownie. Małych rozmiarów kompozycje do śpiewu lub na fortepian, z ozdobami rysunkowymi, będą mogły niekiedy znaleźć pomieszczenie w naszym piśmie.

P. Aurelianusowi R. w Brześciu litewskim. Wzmiankowany w liście Pańskim rękopis nie odpowiada celowi „Tygodnika Ilustrowanego.“

P. Wł. G. w Kielczewie. Rozwiązanie Pańskie zadania szachowego zamieszczonego w Nrze 8 „Tygodnika“, tylko przy nieoględnej obronie czarnych sprowadza matę w trzecim posunięciu, gdy tymczasem w podanym przez nas sposobie mat jest nieunikniony.

NOWY KASTOR I POLLUKS,

albo

HISTORIA O DWÓCH ZASUSZONYCH KAWALERACH
NA WARSZAWSKIM BRUKU.

(Opowiadanie Cześnikiewicza.)

(Ciąg dalszy.)

Trzy dni były do siebie podobne. Przez ten czas ugodzony entreprenier pochował Zosię w grobie pierwszej żony wdowca, który ten jeno miał kłopot, żona umówioną godzinę zaprosiwszy przyjaciół i krewnych przez „Kuryera“, asystował konduktowi piechotę, westchnął wychodząc z cmentarza, uściskał ręce konsolujących go przyjaciół, i pojechał do Francuza na kolację, bo był bardzo głodny, a potem spać poszedł bez wista, bo tak kazały formy towarzyskie przepisujące żalobę. A potem nie zostało ani wspomnienia po biednej Zosi w domu sybaryty.

HISTORIA JEDYNACZKA W 32 OBRAZKACH.

(Według pomysłu L. Kunickiego, rysował F. Kostrzewski.)

(Dokończenie.)



Nr. 28.

Przybywszy do Warszawy, oddaje się grze i zgrywa się.



Nr. 30.

Zgrawszy się porządnie i popłaciwszy długi, jedynaczek czuje się lekkim, bo już majątku ziemskiego nie ma, tylko 20,000 w gotówiznie przy sobie.



Nr. 29.

Tłum krawców, szewców i t. p. zalega jego hotelowy pokój.



Nr. 31.

Ci którzy go dawniej znali i przyjaźnili się z nim, teraz nie poznają go na ulicy.



Nr. 32.

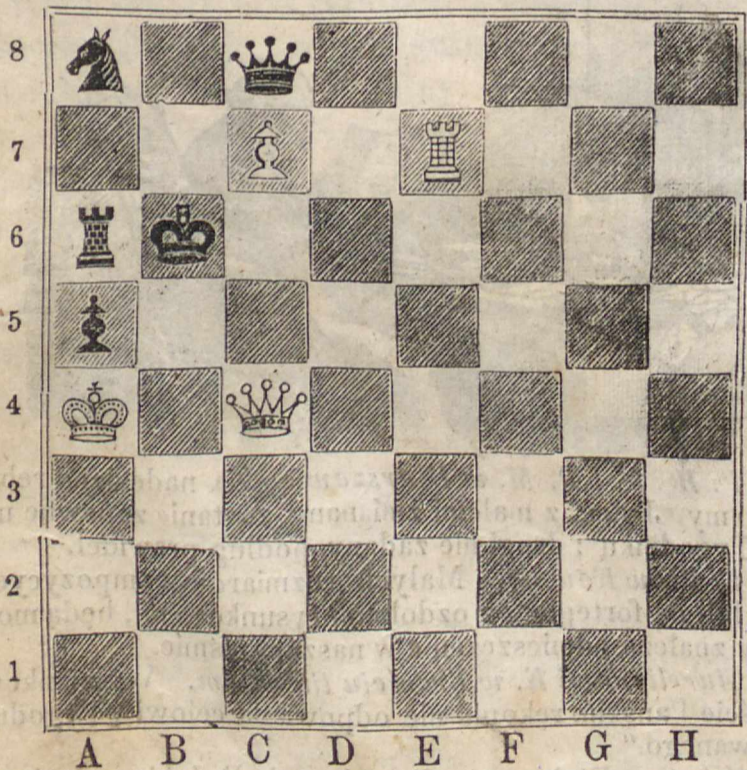
Jedynaczek, straciwszy wszystko, wyjeżdża z Warszawy do krewnych, osiąść u nich na łasce.

SZACHY.

ZADANIE VIII.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.



Białe.

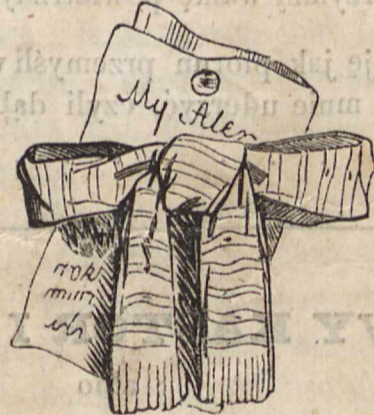
Zadanie konikowe.

(Bez nagrody).

By	dru-	wie-	na	tu-	i	Naj-	znów
nie-	pa-	czy,	gie	cie,	mu	i	trze-
go	pier-	ży-	sze	Ćwi-	wi	I	nę-
sze	liż	czo-	to	dzie	dniej-	cie	chnia
wsze	nie-	wie-	cie,	ny	wy-	stra-	śła.
czy-	po-	ba-	włó-	wy-	Co	spół-	Kra-
tem	z trze-	Przez	wszy-	grzbie-	je	ro-	nie
szła.	stek,	po	cią	czy;	Mój	cie,	się,

REBUS.

no



Ptył



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 10.
Długo pokuka, kto babę oszuka.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 7.

Białe.

Czarne.

- 1) C 3 — E 4 1) B 7 — B 6
- 2) C 4 — C 2 2) E 5 — E 4 bierze
- 3) F 4 — D 3 3) E 4 — D 3 bierze
- 4) E 6 — F 5 † i mat.